

nowa
proza
polska

Warunek
EuStaCHy
RyLSki



Świat Książki

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [e-booksweb.pl - audiobooki, e-booki](#).

Projekt graficzny serii
Małgorzata Karkowska

Ilustracja na okładce
obraz René Magritte'a

Redaktor serii
Paweł Szwed

Redaktor prowadzący
Ewa Niepokólczycka

Redakcja
Miroslaw Grabowski

Redakcja techniczna
Lidia Lamparska

Korekta
Elżbieta Jaroszuk

Copyright © by Eustachy Ryłski, 2005
Copyright © by Bertelsmann Media Sp. z o.o., 2005

Świat Książki
Warszawa 2005
Bertelsmann Media Sp. z o.o.
ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie
Joanna Duchnowska

Przygotowanie
Fabryka Wyobraźni
ul. Bukowińska 22 lok. 12b, 02-703 Warszawa

ISBN 978-83-247-1936-5
Nr 45002

Część pierwsza

ARANCEWO

1

Jesienny świt na pustej, odkrytej przestrzeni, poprzecznanej brzozowymi zagajnikami. Z wilgotnych oparów mgły wyłoniła się szpica szwadronu idąca stępa. Kilkunastu jeźdźców w nieuporządkowanym szyku, prowadzonych przez młodego oficera o brawurowej urodzie, przygazzonej tylko nieco zmęczeniem, jakie niesie wojna.

Szpica przeszła strumień, wspięła się na niewielkie obłe wzniesienie, minęła brzezinę upstrzoną tu i ówdzie rachitycznymi sosenkami.

Mgła, jak to jesienią, nie uniosła się, lecz melancholijnie rozsnuła, pogrążając wszystko w zimnej, przejmującej zawiesinie.

Oficer uderzał od czasu do czasu otwartą dłonią w rękę, cojeść przytroczonej do siodła szabli, ścigał wodze w lewo lub w prawo, toczył koniem w tę i tamtą, zrywał go lub powstrzymywał, okręzał szpicę krótkimi łukami z jednej lub drugiej strony, wybijając ją z rytmu.

Był niespokojny, a w obsesyjnych, nerwowych gestach czuło się nastrój, który poprzedza czasami wybuch niekontrolowanego gniewu lub furii. Reszta kawalerzystów starała się nie zwracać na to uwagi, choć pokora, z jaką przyjmowali kaprysy młodego jeźdźcy, zaświadczała o jego niekwestionowanej pozycji w oddziale.

Następne obłe wzniesienie wyniosło szpicę ponad mgłę,

a gdy pozostawili ją za zadami swych koni, z oparów wyłonił się kolejny oddział, liczniejszy od pierwszego, z którego wysforował się samotny jeździec w miękkim, rozkolebanym galopie.

Doszedł szpicę i zawrzasał:

– Raaangułt! Do diabła, Rangułt!

Wywołany syknął coś przez zaciśnięte usta. Strzelił otwartą dłonią w głównię szabli, aż zagrzecgotały kostki palców.

Jeździec obserwował to w napięciu, którego nie starał się ukryć. Zbliżył się do Rangułta i rzekł, zaglądając mu w twarz:

– Dziwny kraj.

– Mgła – odpowiedział Rangułt, zrywając konia trzy, cztery kroki w przód.

– Dziwna mgła! – wykrzyknął jeździec, zrównując się z Rangułtem.

– Idź precz, Rudzki! – odpowiedział Rangułt i wyrwał znów kilka kroków przed siebie.

– Dziwny kraj i dziwna mgła – Rudzki znów go doszedł.

– Powiedziałem: idź precz!

– Gotujesz się, graf?

– Jak widać.

– Ano ochłodzę, jeżeli łaska...

Najechali teraz na siebie obydwaj. Któryś z koni przysiadł na zadzie. Kłęb przy kłębie, strzemię przy strzemieniu, bark przy barku. Naparli. Nie ustąpił żaden. Rzecz zawisła między żartem a powagą, swawolą a złością, zniechęceniem a determinacją. Przechylić się może w tę i tamtą.

Z oddali, z mgły chłodnej, wystrzał jak uderzenie dłoni w dłoń. Potem zbliżający się, oddalający i znów zbliżający tętent koni i krótka, gęsta kanonada. I cisza jak śmierć.

Rangułt i Rudzki w pełnym galopie. Na równi między

brzezinami szwadron rozciągnięty w poprzek. Na darni kilka nieruchomych ciał w baranicach wyrzuconych futrem do góry. Oszalały koń. Porzucona skałkowa strzelba. Konający szwoleżer z odrąbanym barkiem. Kozak w konwulsjach nawleczony na lancę. Na krzaku ostnicy zakrwawiona papacha.

Rangułt przejechał wśród poległych. Nasycił oczy śmiercią. Obrócił się w siodle i spojrzął za siebie na skulone ciało nakryte podróżną sakwą, wciśnięte w jałowiec.

– Jak dziecko – rzekł łagodnie, przypatrując się poległemu.

Dojechał Rudzki. Nie zsiadając z konia, trącił końcem szabli leżącego i dodał:

– Gotów!

Wychylił się z siodła, klingą zahaczył sakwę i podniósł w górę. Poległy machinalnie, jak dzieje się to czasami we śnie, przytrzymał ją.

Oficerowie odskoczyli.

Leżący mężczyzna powoli rozprostował nogi i wsparł się na ramieniu. Popatrzył przed siebie przytomniejącym wzrokiem. Powstał ostrożnie, nie wypuszczając sakwy. Rozejrzał się. Zakołysał. Wolną ręką obmacał sobie twarz, głowę i członki. Odwrócił się od oficerów i zwymiotował. Podjechali inni. Szwadron zwinął krańce i otoczył mężczyznę, który dawał sobie folgę długo i namiętnie. Kończąc, uczynił taki ruch, jakby zamierzał otrzeć się rękawem, lecz zmitygował się, zgłębiając przepastne kieszenie kurtki. Rangułt pochylił się nad końskim karkiem i podał mężczyźnie nieskazitelnie czystą białą chustkę, ozdobioną złotym monogramem. Jak gdyby nie z tego świata.

Mężczyzna odebrał ją po chwili. Wytarł wargi, twarz, ręce i chciał zwrócić chustkę Rangułtowi, ale dostrzegając niestosowność tego gestu, po krótkim namyśle schował ją do sakwy.

Wyprostował się, obciągając na sobie mundur.

– Z kim mamy zaszczyt? – zapytał Rangułt, dostojniejąc w siodle.

– Porucznik Semen Hoszowski z kwatery wodza naczelnego – odpowiedział mężczyzna.

– Do kogo?

– Do drugiego inspektora kawalerii, generała Lamonta.

– Lamont o pół dnia. Leża w Arancewie.

– Tam mam adres.

– W takim razie prosimy z nami. Szwadron siódmy, kompania pierwsza, gwardia, Andrzej Rangułt, kapitan.

– Jestem zobowiązany – powiedział Hoszowski, próbując wyjść z pierścienia otaczających go jeźdźców. – Koń padł mi pod Wiereją, drugi nieopodał. Ścigali mnie kilka wiorst. Pańscy żołnierze uratowali mi życie.

Rangułt spał klacz, rozerwał pierścień i krzyknął wachmistrzowi w twarz:

– Kulbaka dla porucznika Hoszowskiego!

Szwadron ruszył zwartym szykiem. Zza horyzontu wstało blade jesienne słońce. Nastął dzień bez blasku.

2

Kraj dziwny nie był, Rudzki się mylił. Nic w nim nie było w rzeczy samej dziwnego, bo nic w zanadru, wszystko jak na dłoni, żadnej tajemnicy. Jak jar, to jar. Jak błoto, to błoto. Jak mgła, to mgła. Przeszywające na wylot wczesne zimno. Od miesiąca nieustępujące deszcze. Równina wdeptująca w ziemię, monotonia wręcz nie do zniesienia, sekwencje długie jak choroba.

Kraj, który się sprzysiągł w złej sprawie.

Niby bezludny, pusty, ale niechby tylko co. Niby obo-

jętny, lecz gotów na wszystko. Niby otwarty, chciałoby się rzec, na oścież, ale jednocześnie przyczajony jak dzikie zwierzę.

A gdzie ludzie, tam bezwstydnym, demonstracyjnym gwałtem na wszystkim, co żyje i nie żyje.

Zresztą różnica między jednym a drugim niewielka. Wodzi się przed sobą życie, przejeżdża się, odwraca głowę, a tam już po życiu. Jakby minęło, bez skargi, w zgodzie na własną nietrwałość wobec bezmiaru.

Od czasu do czasu, jak pułapka, pozory dobroduszości. Jakiś pokłon do ziemi, jakiś uśmiech, ciepły gest, ujmująca za serce fraza, ale nie daj Bóg się na to nabrać, uwierzyć.

Kraj, który jak zechce, to zamęczy każdego na śmierć, a jak odpuści, to zdarzy się to samo z siebie. W tym względzie nieodpowiadający za żadnego ze swoich demonów, bo co by nie było i jak by nie poszło, wykupiony będzie od winy swoją bezgranicznością, swoim nieodłącznym bezwładem. Wchodzi się weń łatwiej niż w każdy inny, ale z upływem czasu zapada głębiej, aż nieruchomieje się na amen. Przykre, nieubłagane, dosadne, prostackie, lecz nie dziwne.

Rudzki się więc mylił, kiedy w opuszczonym pałacu książąt Rohatyńskich, na przedpolach stolicy, po raz trzeci rzekł Rangułtowi:

– Zaiste, dziwny kraj, graf.

Popołudnie pochłaniał zmierzch.

Żołnierze karmili konie, rozlokowując je w opuszczonych stajniach, rąbali drzewa z pobliskiego parku, ustawiali karabinki w kozły, grzejąc się przy rozpalonych wokół ogniskach, przecierali szable, ostrzyli lance, pociągali gorzałę. Rozkazy, żarty, śmiech, przekleństwa, nieco leniwa krzątanina. Odwieczny rytuał rozlokowującego się wojska w podbitym kraju. Rangułt przypatrywał się temu

jak zza szyby, stąpając ostrożnie i bezmyślnie, przystając przy jeźdźcach, przysłuchując się ich gadaninie.

Z pałacowych schodów obserwował go porucznik Semen Hoszowski, człowiek jeszcze niestary, krótki, rozrośnięty, w ruchach przyczajony, z jednej strony wyostrzony jak brzytwa, z drugiej tępy jak chłopski lemiesz, a pośrodku mroczny jak noc.

Musiał zauważyć, jak do Rangułta podszedł wiotki oficer o długich słomianych włosach, wymykających się na twarz spod skórzanej czapki. W geście, z jakim zwrócił się do kapitana, w słowach, których Hoszowski nie usłyszał, we wzroku, badającym atletyczną sylwetkę dowódcy, były podziw, cierpliwość i szorstka czułość.

Rangułt wzdrygnął się. Jego proste plecy przeszedł dreszcz za dreszczem. Uśmiechnął się martwo do wiotkiego oficera. Ruszyli ku uzbrojonemu w stal wejściu.

Hoszowski zszedł im z drogi. Kierując się do jednej z oficyn, minął wachmistrza od kulbaki, który przy pomocy kilku żołnierzy rozłupywał toporkiem grube na dłoń drzwi do jednej z piwnic. Kątem oka zauważył, jak obydwaj mężczyźni zginęli w ciemnościach opustoszałego pałacu.

3

Trzech kwadransów trzeba było, aby z rozległego salonu z widocznymi śladami przepychu wymieść chłód i wilgoć. W przepastnym kominku ozdobionym antyczną alegorią paliły się żywo pałacowe meble. Rangułt grzał nimi plecy. Towarzyszyło mu trzech podkomendnych, oficerów kompanów. Mizernych, wychudzonych, brudnych. Oczy mieli podbite, twarze blade, ściągnięte, emanujące jednak, mimo zmęczenia, pewnością siebie i tym rodza-

jem impertynenckiej brawury, która pozwala określić ich mianem nieodrodných synów wojny.

Najstarszy z nich, Rudzki, niewysoki, barczysty, kawaleryjski, naznaczony malowniczą blizną od czoła do żuchwy, bawił się pistoletem, wyciągnięty w jednym z ocalałych foteli. Mierzył tu i tam, udanie imitując palbę. Jego fizycznym przeciwieństwem był Wolanin, wiotki młodzieniec o słomianych włosach spadających na czoło. Z założonymi do tyłu rękoma kręcił się po salonie, wyciągając zuchowatym tenorem:

*Zapredała kukuryka za dudu,
Zapredała kukuryka za dudu.*

Niedźwiedziowaty Dreszer, ozdobiony sumiastym wąsem, cały z waszecia, dusza człowiek, co to jednym uderzeniem pięści rozłupie czaszkę, poczciwiec szczujący zapewne starozakonnych ogarami, po sumie jednakowoż, mimo wychudzenia pleczysty i dupiasty, toczył kości po wyłożonym czeczotką stoliku.

Z zewnątrz słyhać było komendy rozprowadzanych wart i rzenie koni. Od czasu do czasu snop iskier wyskakiwał nad płomień w kominku, zbaczał, rozpryskiwał się i ginął gdzieś w szarościach sufitu.

Dreszer zgarnął kości i poustawiał je w rzędzie wedle starszeństwa. Zwrócił się do Wolanina:

- Nie znasz jakiej innej piosenki, Ksawer?
- Nie rozumiem? – Wolanin zatrzymał się jak wryty. – Jakiej innej?
- Chodzi mi o to, Ksawer, że historia koguta, którego sprzedano na targu w Winnicy, już nam się trochę przejadła i, nie obraż się, dokuczyła. Nieprawdaż, Rudzki?

Rudzki przeniósł dłoń z pistoletem na chłopięcą postać Wolanina.

– Chcecie mnie z tego powodu zastrzelić? – Wolanin zajrzał w głąb wycelowanej w niego lufy.

– Nie ciebie – odpowiedział mu Rudzki – tylko to przekłete ptaszysko, o którym śpiewasz do znudzenia.

Nagle uniósł rękę ponad głowę chłopca i nie mierząc, pociągnął za spust. Łoskot wystrzału zmieszał się z kruchym uderzeniem stiuku o marmurową posadzkę.

– Mniej więcej tak – wyjaśnił Rudzki.

Kapitan Rangułt wyprostował się i wyrwany z otępienia spojrzął za siebie.

Z lufy pistoletu wysnuło się pasemko dymu.

– To nie jest historia o kogucie – wyjaśnił Wolanin, otrzepując mundur z tynku.

– A o czym? – zapytał Dreszer.

– O dziewczynie. Zaniosiła koguta na targ i sprzedała za parę groszy, żeby kupić sobie chustkę.

– Ładna?

– Chustka?

– Nie, dziewczyna.

– Ładniejszej nie widziałeś, Dreszer.

Rudzki zawrzaskał, ponownie nabijając pistolet:

– Do diabła! Panowie! Kiedy ja ostatni raz dziewczynę widziałem? Jakąkolwiek!

Dreszer wrócił do kości. Rudzki znów zajął się celowaniem z pistoletu, a Wolanin piosenką.

Płomień w kominku pochłaniał kolejne meble, deszcz spływał szybkami angielskich okien, wiatr pohukiwał w kominie. Rangułta rozbierała gorączka, Dreszera senność, Rudzkiego niecierpliwość. Wszystko znalazło własną przynależność. Ciszę przerwał następny wystrzał i łoskot osypującego się lustra. Kapitan Rangułt w dwóch susach przesadził stół i odległość, jaka dzieliła go od fotela pod ścianą. Rudzki wstać nie zdążył, kiedy Rangułt chwycił go długimi palcami za gardło i poderwał z mebla.

– Słuchaj, ty... ścierwo! – zacharczał przez zaciśnięte zęby. – Bogiem się klnę... Bogiem...

– Stać! – krzyknął Dreszer i zerwał się od stołu.

Wolanin wbił się wąskim ciałem między wczepionych w siebie mężczyzn.

– Stać! – powtórzył Dreszer, rozdzielając oficerów. – Spokój, to nic, nic, Jędrus. Wybacz głupcowi. Rudzki, oddaj pistolet. Spokój, spokój, panowie. To zmęczenie, tylko zmęczenie, tylko zmęczenie.

Ranguł ciężko oddychał. Wrócił do kominka. Rzekł cicho, lecz tak, że dreszcz mógł przejść po kręgosłupie:

– Kiedyś cię zabiję, Rudzki.

Pochylił się nad ogniem i nie patrząc na pozostałych, zapytał już obojętnie:

– A gdzież ten... no, jakże mu tam... Semen ze sztabu?

– Hoszowski – podpowiedział Dreszer, pilnując rzucającego się jak ryba Rudzkiego.

– Ano właśnie, Hoszowski. To gdzie on?

– Od przyjazdu nie widziałem – poinformował Wolanin.

Kapitan Ranguł z niechęcią oderwał się od ognia i prostując się, polecił:

– To go znajdź. I proś na kolację.

Wolanin wyszedł natychmiast. Już w szarą godzinę.

4

Po dwóch kwadransach wrócił, pozostawiając za sobą majdan i światła ognisk. Wrócił do wysokiego hallu, ciemnego jak studnia, rozcinającego pałac na pół. Po kilku jednak krokach, jakby czymś tknięty, zatrzymał się i rozejrzał. Wiele widać nie było. W chwilę potem wsunął się

bezszelestnie w uchylone drzwi, do wielkiej, jak reszta pałacu, opustoszałej sali, z kolumnadami po obydwu bokach, które przez symetrię i powtarzalność nadawały jej wymiar nieskończoności. Ogniska na zewnątrz oświetlały ją tajemniczym, baśniowym blaskiem. Wolanin przeszedł próg i z chłopięcym zainteresowaniem spojrzał na własny cień odbity między kolumnadami. W miarę jak mijał okna, cień znikał i pojawiał się, nienaturalnie powiększony, aż po wysoko zawieszoną antresolę, a sala zdawała się nie mieć końca.

Gdy doszedł wreszcie do jej kresu, cień zdążył pojawić się i zniknąć kilkunastokrotnie. Młodzieniec zdecydował się wrócić do drzwi i uważnie odliczyć, diabli zresztą wiedzą czemu, miejsca, w których przerwy między oknami gubią jego fantom. Zauważył wtedy, że nie ma co liczyć, gdyż cień już się nie odbija.

Na sobie samym sprawił wrażenie człowieka zakłopotanego faktem, że światło zatrzymuje się na nim, gdy jest obrócony do jego źródła prawym bokiem, kiedy zaś lewym – przesywa go na wylot.

Nic szczególnego w rzeczy samej, jednakowoż...

Chcąc sprawdzić widocznie, czy ta niejednoznaczność ma związek z jakąś połowicznością jego natury, zawrócił od drzwi do środka sali i stanął tyłem do ognisk za oknami. Cień rozrósł się, wyolbrzymiał, wyostrzył i, co zaskakujące, przybliżył. Wolanin zamachał mu dłonią. Zgodnie z prawem natury cień odpowiedział. By nie pozostawić wątpliwości, pozdrowił cień drugą ręką. Odpowiedź była identyczna. Wolanin odwrócił się teraz twarzą do ognisk. Nic nie powinno się zmienić. Ale się zmieniło. Spoglądając za siebie przez bark, nie zobaczył niczego oprócz niemej ściany.

Jakby tkwił w półzyciu, w półistnieniu, w jednostronności jakiej.

Na wszelki wypadek, jak poprzednio, pomachał sobie ręką. Ściana milczała.

– Co jest, sobacza mać? – warknął.

Odpowiedziało mu dyskretne chrząknięcie z góry.

Wolanin spojrział. W półmroku zamajaczyła krępa sylwetka Hoszowskiego, wspartego dłońmi o barierę antresoli.

– Czy to pan, poruczniku? – zapytał Wolanin.

– Nikt inny – odpowiedziano mu z góry. – Znalazłem tu odludne miejsce i bezpieczną sofę.

– Czyżbym pana obudził?

– Sen mam czujny – odrzekł Hoszowski, nie ruszając się z miejsca. – Budzi mnie w zasadzie wszystko.

– Szukam pana od dłuższego czasu – usprawiedliwił się Wolanin.

– No to nie bez powodzenia – odpowiedział porucznik, odczekawszy, aż odpłynie echo. – A w jakiej sprawie, jeżeli wolno zapytać?

– Hrabia Rangułt przysyła grzecznie prosić.

– Prosić? Czemuż to?

– Na kolację.

Porucznik Hoszowski znikł na chwilę Wolaninowi z pola widzenia. Ten cofnął się do okien, ale sam teraz w świetle zgubił wszystko, co było poza jego kręgiem. Więc i antresolę.

– Nie jestem głodny – usłyszał Wolanin głos Hoszowskiego, znacznie bliższy, ale z tej samej wysokości. – Natomiast nie ukrywam, żem zmęczony. Chce mi się spać. Jeżeli to niekonieczne...

– Obawiam się, panie poruczniku, że konieczne. Hrabia Rangułt poczułby się odmową dotknięty.

– Hrabia Rangułt? Czy dobrze słyszę?

– Otóż to, panie poruczniku.

Nim echa wybrzmiały, Hoszowski znalazł się przed

Wolaninem, jakby bezgłośnie sfrunął z antresoli, razem z przewieszoną przez ramię sakwą podróżną. Czako miał wsunięte w kieszeń kurtki, a łeb ogolony do skóry.

– Hrabia Ranguł – mruknął do siebie, idąc za szwoleżerem drobnym krokiem, a w tonie jego głosu doszukać się można było niechęci i ironii.

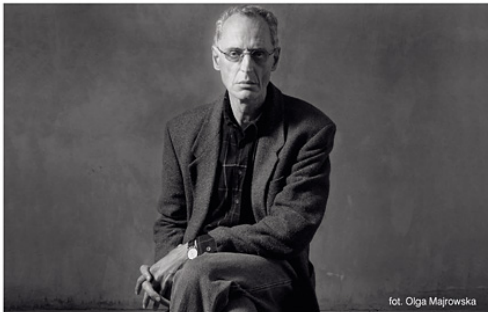
5

Wszystko wisiało w powietrzu. Niczego nie trzeba było prowokować. Żadnej licytacji, bo wszystko w mgnieniu oka zostało zlicytowane. Tylko zagrać.

Lęk przeciwko lękowi, zmęczenie przeciw zmęczeniu, kontuzje przeciw kontuzjom, a brud przeciw brudowi. Więc dzieliło ich nawet to, co powinno łączyć. To, co musiało dzielić – jak, nie zagłębiając się w istotę rzeczy, przyziemność i górnolotność, bezbarwność i szyk, wdzięk i toporność, pycha usprawiedliwiona i skromność demonstracyjna, wojskowość i cywilność – uczyniło ich sobie obcymi, nim zdążyli się poznać. Zresztą o czym tu mówić! Porucznika Hoszowskiego zirytowała natychmiast, jeszcze tam w polu, zuchowatość szwoleżerów, zamaszysta młodzieńczość, a szwoleżerów – jego zasadniczość.

Ta sama armia, różne światy.

I ta idiotyczna proszona kolacja. Wspaniały stół nakryty jakąś brudną szmatą. Na środku mosiężny lichtarz bez jednej świecy. Cienka polewka na cynowych miskach i zaćhłe suchary. Światło tylko od ognia w kominku. Kolacja, którą spożyć należy jak najszybciej, ukradkiem i przede wszystkim w milczeniu. A tu Rudzki się rozgadał, ni w pięć, ni w dziewięć. Bo kto to na wojnie o wojnie gada, oprócz tych, którzy nigdy jej nie zakosztowali. Ale Rudzki ją znał, wystarczyło zajrzeć mu w twarz, więc o co cho-



Eustachy Rylski (ur. 1944 r.), prozaik, dramaturg, scenarzysta. Autor dyptyku powieściowego *Stankiewicz; Powrót* (1984), zbioru opowiadań *Tylko chłód* (1987), powieści *Człowiek w cieniu* (2004), sztuk teatralnych, scenariuszy filmowych. Tłumaczony na wiele języków.

„Nic ich ku sobie nie skłaniało. Ani porucznika ku przerośniętej, szpotawej pannie, umówionej ze swoim staropanieństwem, zdawało się, na zawsze, ani jej ku mrocznemu trzydziestolatkowi, wrogiemu, to się widziało, wszelkiej, więc również własnej mitologii.

W nim wszystko działało bez zarzutu, w niej żaden tryb się nie ząbiał z sąsiednim, żaden pas nie przenosił żadnej transmisji, nic nie łączyło się z niczym, przeto nie była płynna, tylko rozchwiana.

Szpeciło ją nawet to, co inne mogłoby zdobić, a choćby wzruszać, jak kruchość, drobność, defensywność. Bo wszystko, co zapowiadało w niej męskość, jak na przykład grenadierska stopa, pozostało w połowie drogi, porzucone, niezdecydowane, niedorobione.

Musiła mieć też w pogardzie zalotność, bo jej nie używała.

Więc ponieważ nic ich ku sobie nie skłaniało, czuli się skrupowani i szukali okazji, by się rozejść. Na razie jednak geografia parku nie dawała im tej szansy.”

Patron medialny serii:



Nowości i zapowiedzi

www.swiatksiazki.pl

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [e-booksweb.pl - audiobooki, e-booki](#).